

— Pani Seymour zaprowadziła ją do wielkiego, bardzo wielkiego doktora...

— Okulisty — dodał Jacek, dumny, że zna właściwe słowo. — I co powiedział?

— Powiedział, że już nie można leczyć, że to paraliż... A mój tatko taki chory. Słyszałem wczoraj, jak Gertruda, nasza służąca mówiła, że to cud, że jeszcze żyje.

— Czy ona jest dobra dla ciebie, Getruda?

— O, tak, jak Ludwika dla ciebie.

— Toś ty wyszła razem z panią Seymour?

— Pani Seymour, to jest dla mnie jak prawdziwa mama.

Przy słowach tych zarumieniła się, gdyż pomyślała o tej, której nigdy nie powinna wspominać, której nigdy nie powinna już widzieć, tej wesołej, ciągle śmiejącej się mamie, która takie cierpienie sprewiła jej taktowni, iż od tego umiera.

— Pani Seymour bierze mnie codziennie na spacer, gdyż niewidoma babcia, ani tatko, który ciągle leży w łóżku, nie mogą zajmować się mną.

— O tak, u nas także były różne historie.

Opowiem ci je potem — dodał z powagą. Ale czyś ty o mnie myślała kiedy?

— Często Jacku.

— To dobrze, bo ja ciebie bardzo kocham.

— I ja także.

Głośniejsze słowa pani Seymour, przerwały ich zwierzenia.

— Ach, co za niegodziwość! I pani sądzi istotnie!...

Postępowanie markiza przejęło ją wielkim oburzeniem. Spojrzała na dzieci.

— Ubierajcie się, idziemy na śniadanie. Pani sprawi mi wielką radość, przyjmując gościny u mnie.

Zeszły. Pani Le Chars zatrzymała się w hotelu, by uregulować rachunek, poczem wsiadły do samochodu razem z dziećmi, Ludwika zajęła miejsce koło Doddy i w kilka minut potem byli już na avenue du Bois przed domem, w którym mieszkała dzielna Amerykanka.

Po śniadaniu pani Seymour zwróciła się do Joanny:

— Muszę teraz odwiedzić nieszczęśliwego pana Mitre i jego matkę.

— Jeżeli można, pragnęłabym pani towarzyszyć; mam wiele współczucia dla nich.

— Bardzo proszę, jedźmy razem.

— A Jacek.

— Pozostanie z Made; Ludwika i Doddy będą czuwały. Pani Mitre powierzyła mi wnuczkę, by uchronić ją przed widokiem agonii ojca, która wkrótce nastąpi. W czwartki i niedziele przychodzi do mnie siostrzenica Janina Forster, która kształci się w liceum Pascala i wtedy obie bawią razem.

— Co się dzieje z żoną pana Mitre? — zapytała Joanna już po drodze.

— Nic dobrego; jest jak owoc zewnątrz piękny, w środku zgniły. Będzie staczała się coraz niżej, aż wreszcie z utratą urody znajdzie się w kałuży.

— Jakże to smutne, zwłaszcza dla córki.

— Pan Mitre schwycił żonę na gorącym uczynku, by przez to uzyskać formalny rozwód i wyjednać dla siebie zastrzeżenie wszystkich praw do dziecka, tak aby matka nie mogła go oglądać nawet!...

— Istotnie, przykład zły, zgubne rady...

— Lecz to jest najgorsze, że nie doczeka się wyroku procesu rozwodowego.

— To straszne!

— Tak, los małej Made byłby smutny...

— Gdyby drogiej pani tu nie było — dodała Joanna, ściskając za rękę panią Seymour, która w swej dobroci wszystko była gotowa uczynić.

— Przywiązałam się do dziecka, które wkrótce pozostanie sierotą. Babka jej postanowiła zamieszkać w domu dla starców. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko adoptować Made.

— Lecz czy matka nie zachowa po śmierci ojca swych praw? Czy nie będzie ich domagała się?

— To jest największy kłopot. Byłaby to wstrętna rzecz, by sędziowie mieli się trzymać litery prawa. Już rozpoczęłam w tym względzie starania. Jutro mam zobaczyć się z prezydentem Trybunału cywilnego. Podobno jest on bardzo szlachetny.

— Może pani pod jego czarną togą znajdzie

serce człowieka. Urzędnicy sądowi są przeważnie bezduszni, życiem dla nich jest kodeks.

Znalazły się przed mieszkaniem pana Mitre. Drzwi nie były zamknięte, na progu spotkała je Gertruda z potarganymi włosami, z podpuchniętymi od płaczu oczami.

— Och, proszę pani, już skończył nasz biedny pan...

Pani Seymour i Joanna wstrząsły się boleśnie.

— Rano to tak, jakby mu było lepiej, ale gdy o dziesiątej weszłam do jego pokoju, zobaczyłam, jak z wytrzeszczonymi oczami dusi się...

„Zdołał tylko powiedzieć: Pa... Pani Sey... Tak, proszę pani, nie mógł skończyć pani nazwiska, otworzył tylko usta i opadł na poduszkę. Od tej chwili tylko charczał delikatnie, a w rękach zaciskał koldrę; to już na znak śmierci. Już też i nie odzyskał przytomności i przed pół godziną umarł.“

Doktor przyszedł i przyłożył lustro do ust, ale tylko powiedział: Już koniec.

„Ale dla czego ja panie tu zatrzymuję, niech panie wejdą. A starsza pani to nic nie mówi, nawet



Trzydzieści sześć i jeden. Niema gorączki.

nie płacze, tylko jak słup stoi. To by nawet kamień rozczulił się, patrząc na to.

Pani Seymour i Joanna weszły do pokoju. Na łóżku leżały zwłoki pana Mitre; na wychudłej jego twarzy w dołach zapadniętych głęboko oczu, widniała jeszcze jakaś troska. Obok siedziała, ubrana na czarno, pani Mitre; nie zwróciła nawet głowy na szmer wchodzących. Obie panie ucałowały ją w milczeniu.

— Dziękuję... Ja nie widzę was, lecz poznaję... Mój biedny Edgard!...

I lzy, pierwsze może, które mogły z pociemniałych jej oczu popłynąć, potoczyły się po bladej, zmarszczonej twarzy.

## XXV.

### WYKRYCIE MACHINACYJ MARKIZA.

W półtora tygodnia po tych wypadkach, mistress Harden, siedząc przy łożu hrabiego Hartenberga, mierzyła mu temperaturę.

— Trzydzieści sześć i jeden... Niema gorączki — odezwała się.

Niespokojnym wzrokiem śledził ruchy tej, która razem z Maud stała się jego pielęgnarką w czasie choroby. Widząc jej wesołą minę, odetchnął swobodniej na myśl, że znowu powraca do zdrowia. Oca-

lił go silny organizm, nie wyniszczony jeszcze nadużyciami.

Przybladły, zmęczony, wodził oczami dokoła, przyglądając się pokojowi, w którym leżał. To nie było jego mieszkanie w hotelu Prior na ulicy Rivoli. Ile razy odzyskiwał przytomność dziwił się zawsze otoczeniu, jakie znajdował koło siebie.

— Gdzie Maud?

— Zaraz przyjdzie, jak się pan czuje?

— Lepiej, lecz jeszcze słabo mi.

Niech pan nic nie mówi... Czy chce pan pić? — zapytała mistress Harden czułym głosem.

Do tej pory zdołała uniknąć jego pytań. Jak można było wytłumaczyć choremu w gorączce, że dyrektor hotelu, obawiając się odpowiedzialności i strat materyalnych, jakiłby doznał z powodu możliwej jego śmierci, zażądał zabrania rannego do kliniki chirurgicznej i że wtedy mistress Harden ośmieliła się przewieźć go do własnego mieszkania. Był to śmiały zamach stanu na wspaniałomyślność hrabiego i udał się też jej w zupełności. Wymagało to pewności siebie i odwagi, ale tych zalet nigdy nie brakowało Czarnej księżniczce. Pod pozorem kuzynostwa zabrała go do siebie, uregulowała rachunek w hotelu, zajęła się nim tak troskliwie, iż nie puszczała do chorego nikogo, nawet przyjaciół klubowych, motywując to rozkazem doktora.

Zawczasu dowiedziała się, że nie ma on bliskich krewnych, że dalsza jego rodzina mieszka daleko na Węgrzech, że mieszkał w Paryżu sam, nie związany z nikim. Roztoczyła nad nim niezwykłą czułość, otwierała wszystkie jego listy, przejrzała wszystkie dokumenty hrabiego, usunęła go kompletnie z pod wpływów zewnętrznych, korzystała z jego słabości, by narzucić mu swoją czułość, by poddać go swoim wpływom, aby następnie przez Maud dobrać się do jego milionów. Przedstawiało to pewne ryzyko, porzucała bowiem zupełnie markiza Morailles, nie będąc pewną, czy hrabia po wyzdrowieniu nie strząśnie z siebie siłę, jakie nań nastawiła. Jakieś jednak przecucie, dyabelska znajomość charakteru ludzkiego, kierowała wszystkimi czynami mistress Harden. Nie zatraciła nic z dawnej swej bystrości, przebiegłości, dzięki której potrafiła zawsze sidlić mężczyzn, wyssać z nich wszystko, by potem zrujnowanych porzucić, jak połamany wachlarz. Jeżeli nie miała już tej królewskiej piękności, jaką czarowała dawniej Czarna księżniczka, zachowała jednak wszystkie cechy swego niepokonalnego charakteru; do pomocy miała jeszcze czarowną, pełną przewrotności Maud. We dwie omamiły hrabiego Hartenberga. Nic bardziej go nie wzruszało, jak gdy czując się słabszym, spostrzegał kłęczącą przy łóżku Maud, całą we łzach. Umiała płakać na każde zawołanie. Kochał Maud, zwłaszcza że tak drogo zapłacił za nią, szukał jej spojrzenia a gdy oczy ich spotykały się, na ustach jawił mu się wdzięczny, dziecięcy uśmiech. Mistress Harden, czując w jego wielkim ciele miękkie serce, odważyła się i dopięła swego celu. Markiz Morailles był już dla niej wyjałowionem, bezpłodnym polem, hrabia Hartenberg tłustą, żyzną ziemią. Spojrzała na hrabiego rzewnym wzrokiem, odpowiadając na jego szept: Maud...

— Musiała wyjść, za pół godziny już wróci. Niech pan spoczywa spokojnie.

Opuściła pokój i przeszła do małego saloniku, gdzie Maud jeszcze w kapeluszu na głowie rozmawiała z Amelią Nivoret.

— Dzień dobry; co za dobry duch panią sprowadza?

Amelia do tej pory nie mogła spocząć, dopóki nie wyszukała nowego wielbiciela dla tej czarnej brunetki, którą lord wyrzucił przez okno.

— Ach, ta głupia Klara?... — rzekła wzgardliwie mistress Harden. — Przestała mnie interesować! Zbyt ordynarne ma gusta.

Zapomniała była Czarna księżniczka, mistress Colson, współniczka galernika Hawkinsa, że nieraz zdradzała słabość dla wędrujących cyganów i cyrkowych masztalerzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).